



SZCZECIŃSKIE
LEGENDY

SZCZECIŃSKIE LEGENDY

Dawid Jung

Szczecin 2023

Dawid Jung, *Szczecińskie legendy*, 2023

Copyright © by Dawid Jung, 2023

Copyright © for Szlak kulturowy szczecińskich legend by
Dawid Jung

Copyright © for the cover design by Mateusz Zimny

Wydanie I

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich oddział w
Poznaniu, seria Literatura SPP, tom V
ISBN 978-83-89578-21-1

Wstęp, teksty literackie: Dawid Jung
Projekt okładki, ilustracje: Maciej Jung
Skład i projekt typograficzny: M. Zimny



Mecenat Miasta
Szczecin

**Zrealizowano w ramach
Mecenatu kulturalnego Miasta Szczecin**

Patronat:



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich

SDP
Stowarzyszenie
Dziennikarzy Polskich



**ZESZYTY
POETYCKIE**

Wstęp

Czym jest legenda? Odpowiadając najprościej: każda legenda to wdowa po plotce...

W każdej legendzie odnajdziemy odrobinę prawdy – wątek historyczny, wykpienie wad ludzkich lub opis minionego piękna. Im wspanialsze miasto, tym skarbiec legend większy.

Bez wątpienia Szczecin posiada wyjątkowe legendy, które przez wieki przekazywali sobie ustnie mieszczanie z pokolenia na pokolenie. Współcześnie legendy szczecińskie są świadectwem unikalnej kultury, mieszczańskiej literatury, która nadal może być atrakcyjna dla kolejnych generacji.

Obecnie obserwujemy „renesans szczeciński” dotyczący popularyzacji tego gatunku – wystarczy wspomnieć m.in. najwartościowsze prace pisarzy, badaczy lub miejskich przewodników, którzy ocalają wspaniałe dziedzictwo legend Szczecina i okolic, jak choćby: *Przewodnik po magicznym lesie. Legendy Puszczy Bukowskiej* (Artura Gizy-Zwierzchowskiego); *Legendy Pomorza* (Jarosława Kociuby); *Wyśniony skarb. Podania, legendy i baśnie o Szczecinie* (Anny Malejki); *Zachodniopomorskie legendy i dzieje oraz Historie prawdziwe i magiczne. Mity, legendy, zdarzenia* (Wrzesława Mechły); *Zamkowe opowieści duszka Bogusia* (Moniki Wilczyńskiej); *Le-*

6 Szczecińskie legendy

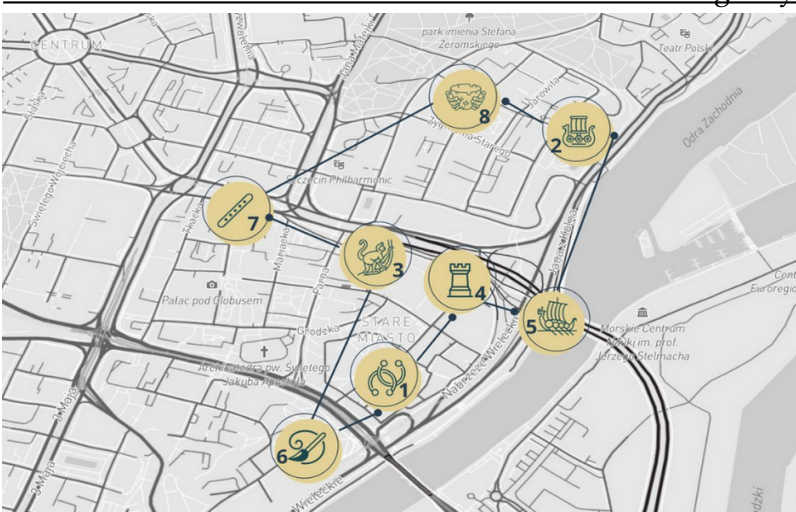
genty pomorskie. Ocalić od zapomnienia (opr. Moniki Wiśniewskiej) oraz znakomite serie wydawnicze dla dzieci autorstwa Małgorzaty Dudy.

W niniejszym wydaniu przedstawiamy Państwu legendy dotychczas niemalże całkowicie zapomniane, a odnoszące się bezpośrednio do czasów średniowiecza.

Inspirując do odszukania motywów literackich publikowanych tutaj po raz pierwszy legend, był okres istnienia Księstwa Szczecińskiego (1160-1625), a także czasów wcześniejszych, panowania książąt Warcisława i Racibora.

Z każdą legendą rozgrywającą się w średniowiecznym Szczecinie powiązane jest miejsce lub jakiś zachowany zabytek, który turyści mogą zobaczyć osobiście. Dzięki temu powstał *Szlak Kulturowy Szczecińskich Legend* wraz z mapką.

Mam nadzieję, iż zaprezentowane tutaj legendy wzbogacą miejskie opowieści o Szczecinie, a projekt (wraz ze stroną internetową www.szczecin.szlakikulturowe.pl), w całości zrealizowany w ramach Mecenatu kulturalnego Miasta Szczecin, uatrakcyjni turystykę kulturową, bowiem żadne inne miasto w Polsce nie może poszczycić się tyloma legendami o dawnych książniczkach, księżętach, rycerskich wyprawach, syrenach, gryfach, bursztynowej galerze lub czarodziejskiej łodzi wikingów...



Szlak Kulturowy Szczecińskich Legend:

1. Rynek Sienny przy Ratuszu Staromiejskim:
O srebrnym kolczyku
2. Przy Wałach Chrobrego: *O czarodziejskiej łodzi wikingów*
3. Zamek Książąt Pomorskich (ul. Korsarzy 34):
O księżęcej matpce
4. Baszta Panieńska (ul. Panieńska 47):
O żebraku spod Bramy Panieńskiej
5. Astrolabium przy bulwarze: *O bursztynowej galerze*
6. Kościół pofranciszkański (ul. Świętego Ducha 9):
O szczecińskim malarzu
7. Muzeum Narodowe w Szczecinie (ul. Staromłyńska 27):
O magicznej piszczałce
8. „Gimnazjum Mariackie” (ul. Henryka Pobożnego 2):
O klątwie żebraka

Miejsce: Rynek Sienny przy Ratuszu Staromiejskim

O srebrnym kolczyku

W dawnych czasach, kiedy Pomorze tonęło w mrokach wojen i bitew, nad brzegiem rzeki Odry, w malowniczym Szczecinie, odbyła się uroczystość, której świat nie mógł długo zapomnieć. W centrum tętniącego życiem Rynku Siennego, przy ratuszu, ksiązę Warcisław, potomek Gryfitów, syn Świętobora, składał hołd lenny Bolesławowi Krzywoustemu, władcy Polski. To był hołd wynikający z przekleństwa wojny i związany był z wielkim gestem lojalności oraz przyjaźni między władcami, jako rodzaj przypieczętowanej umowy na przyszłość. A przede wszystkim - spełnienie danej obietnicy.

Wśród zgromadzonego tłumu unosiła się mieszanka niepokoju i ekscytacji. Hołd lenny to zobowiązanie o ogromnym znaczeniu, a niebotyczna suma - 500 grzywien srebra¹ - sprawiała, że wielu szczecinian szeptało między sobą: czy wystarczy nam srebra, czy ksiązę Warcisław zdoła

¹Waga grzywny srebra w średniowieczu była zróżnicowana w zależności od czasu i miejsca. Ogólnie przyjmuje się, że grzywna srebra na początku XII w. miała masę około 350-400 gramów. Jeśli przyjmiemy, że jedna grzywna miała masę 375 gramów, to 500 grzywien srebra ważyłoby: 187,500 gramów, czyli 187,5 kg srebra.



dostarczyć tak olbrzymią daninę? Pytań było coraz więcej w miarę jak książę Warcisław zbliżał się do miejsca na szczecińskim rynku, w którym miał złożyć hołd.

W chwili, gdy misa z grzywnami srebra spoczęła na wielkiej wadze na środku rynku, nastąpiła grobowa cisza, nikt nawet słowem nie pisnął, wszyscy wpatrywali się w skupieniu w Warcisława i szczecińskie srebro, które błyszczało w

10 Szczecińskie legendy

słońcu. I nagle, ku radości zebranych, waga zaczęła przechylać się delikatnie, jednak po chwili stanęła nieruchomo, a w tłumie zaczęto znowu szeptać: czy uda się wypełnić obietnicę, czy starczy nam srebra?



Książę Warcisław posmutniał, bo w szczecińskim skarbcu nie było już więcej kosztowności. I wtedy niespodziewanie pojawiła się tajemnicza kobieta, której wcześniej w Szczecinie nie widziano. Na uszach miała srebrne kolczyki, ozdobne i błyszczące, wzbudzające u wszystkich zachwyty. Gdy waga wskazywała, że nadal brakuje niemalże połowy srebra, aby wypełnić książęcą obietnicę, tajemnicza kobieta zdjęła swój kolczyk z jednego ucha i z uśmiechem wrzuciła go na szalę wagi. Kolczyk rzucony z impetem zadźwięczał tak głośno, jakby uderzono w dzwon, że aż słyszano go daleko za obwarowaniami Szczecina.

I po chwili stał się cud nowy. Waga zaczęła się przechylać w drugą stronę, aż musiano zabrać całe srebro Warcisława i został na szali wagi tylko ten jeden kolczyk.

Książę Warcisław, pan i dziedzic Szczecina oraz książę Bolesław Krzywousty, władca Polski, zrozumieli wraz z zebranymi na rynku, że właśnie są świadkami niebywałego zdarzenia, i zapewne niebiosy dają im znak, aby ich przyjaźń była trwała i uczciwa na długie lata, co też wkrótce się stało. A jaki los spotkał tajemniczą kobietę? Mówią, że jeszcze tego samego dnia opuściła Szczecin. Ponoć widziano ją jak wskakuje do Jeziora Dąbie i przemienia się w piękną syrenę. Inni natomiast gotowi są przysiąc, że kobieta uciekając z miasta zgubiła w rogu rynku swój drugi kolczyk.

12 O srebrnym kolczyku

Wielu śmiałków szuka po dziś dzień syreniego kolczyka, lecz wciąż go nie odnaleziono. Kto znajdzie srebrny kolczyk, dostąpi nie tylko wielkiego bogactwa, ale i łask samych syren szczecińskich.



Miejsce: bulwary przy Wałach Chrobrego



O czarodziejskiej łodzi wikingów

Dobromir był synem ubogiego rybaka, który na targu szczecińskim dzierżawił skromny stragan sprzedając szczecinianom świeże ryby. Co noc wyplwał czółnem w

14 Szczecińskie legendy

niebezpieczne morze, aby rano sprzedać za grosze kilkanaście sztuk ryb. I tak, czy lato, jesień czy zima, Dobromir wypływał w swoje przybrzeżne rejsy.

Aż pewnej wiosny, zmęczony już pracą na morzu, rzekł cicho do siebie:

- *Oj, gdyby los mój się odmienił... Oddałbym wszystko...
Do końca życia mam ryby łowić w starą, połataną sieć?*

Nim to powiedział, podpłynęła do Dobromira jedna z syren. Przestraszył się nieco rybak, bo wiele już lat spędził na morzu i dopiero teraz pierwszy raz mógł podziwiać ten cud natury, o którym dotychczas słyszał tylko od marynarzy w szczecińskiej tawernie.



- *Nie bój się dobrego człowieka - szepnęła syrena - ty i ja cierpimy podobnie. Ty z przemęczenia, ja z udreki serca. Ale możemy sobie pomóc. Jeśli dotrzymasz słowa, uczynię cię szanowanym i bogatym mieszczaninem Szczecina.*
- *Oj, to byłoby wspaniałe... Ale co miałbym uczynić, syrenia piękności? - zapytał rybak.*
- *Wiem, gdzie pośrodku Bałtyku stoi na kotwicy ostatnia łódź wikingów, stara i opuszczona. A jest ona wyjątkowa, bo zrobiona z magicznego drewna. Same żagle na maszty się wspinają, każdy sztorm i burzę łódź ta przetrwa, ale ten tylko może wejść na jej pokład i być jej kapitanem, kto zna magiczne zaklęcie: „Lát þetta skip vera mér hlýðinn við handa mér”, co znaczy w języku wikingów: „Niech ta łódź pod moją ręką będzie mi posłuszna” i wtedy musisz powiedzieć na głos tylko port, do którego chcesz doплыnąć, a łódź sama cię tam powiedzie. Daruję ci tę łódź, ale w zamian popłyniesz do Kairu i uwolnisz mojego ukochanego ze Szczecina, który jako rycerz na krucjacie wpadł w zasadzkę i teraz cierpi w kairskiej niewoli. Na prawym ramieniu ma tatuaż z moim wizerunkiem oraz imieniem. Jeśli go przywieziesz do Szczecina, obsypię cię bogactwem, bo do końca swych dni łódź tylko tobie wierną do sterowania będzie. A teraz, jeśli się zgadzasz na taką umowę, powtórz magiczne hasło. - nakazała syrena, aby*

po chwili powtórzył je rybak.

Nim Dobromir powtórzył zaklęcie, syrenka zniknęła w głębi morza i zerwał się okrutny sztorm, aż fale poniosły go daleko od brzegu. Mijał trzeci dzień od końca sztormu a Dobromir stracił już nadzieję, nie mając jadła i wody. *Oszukała mnie piękna syrena, ale ze mnie głupiec... - pomyślał - jeśli mam już umierać, to we śnie, przynajmniej nie będzie bolało...* I zasnął biedaczysko, myśląc, że już z nim koniec. Aż śniąc, zbudził go ogromny rumor. Czółno rybackie uderzyło o coś.



Dobromir wstał i nie dowierzał. Jego oczom ukazała się wspaniała łódź wikingów, z rzeźbionym gryfem na dziobie, z żaglami postawionymi, jakby załoga gotowa była w daleką podróż. Ale wokół żywej duszy. Wszedł zatem Dobromir na pokład wikińskiej łodzi. I jakież cudenka były pod pokładem, nie tylko beczki z wodą i marynowanym mięsikiem i śledziami, ale i złote skarby oraz skrzynie pełne bursztynu.

Stanął rybak za sterem łodzi i próbował sobie przypomnieć magiczne zaklęcie.

- *Jak to szto? - denerwował się Dobromir - Lat beta skip vera... mer hlydin vid handa mera? Cisza... Nie, nie dobrze... A może, chwileczkę, już pamiętam! Lat beta skip vera mer hlydin vid handa mer! Kair!* - krzyknął rybak.

I ruszyła łódź jak szalona, mimo braku wiatrów, płynąc nieprzerwanie kilkanaście dni i nocy, aż dotarła do dalekiego Kairu.

No, Dobromirku... Wpadłeś jak flądra na szczeciński zamek... - pomyślał rybak - ...cóż, słowo się rzekło, zabieram bursztyn i idę w to obce miasto... Może bez znajomości saraceńskiego języka wydarzy się jakiś cud...

I rzeczywiście, los sprzyjał szczecińskiemu rybakowi. Już w porcie nie chciano nawet podejść do łodzi Dobromira, bo przesądni kairczycy bali się wizerunku groźnego gryfa,

który mógłby na ich miasto rzucić jakiś urok, jak niegdyś zrobił to ich sfinks, więc Dobromir, spokojny o swoją łódź, ruszył w miasto, aż dotarł na wielki targ. A tam cuda Dalekiego Wschodu - jedwabie, daktyle, wielbłądy, tresowane małpki. *Oj, takich rzeczy u nas nie ma, kupcy szczecińscy zapłaciliby mi fortunę za te wspaniałości świata* - pomyślał Dobromir, i nim westchnął, rozsypały mu się wszystkie bursztyny, które ukrywał za pazuchą.

Dla zarządcy targu był to znak, że przybysz z dalekiej krainy bierze udział w aukcji niewolników, a że bursztyn u Arabów był wtedy droższy od złota, Dobromir, nieświadomy jeszcze sytuacji, wykupił z niewoli aż dwudziestu mężczyzn.

I tym razem los był łaskawy dla Dobromira, bo jeden z mężczyzn miał tatuaż na prawym ramieniu.

- *Uciekajmy stąd* - szepnął Dobromir - *jestem tu, bo twoja ukochana syrena poprosiła mnie, bym cię odnalazł. Wracajmy do Szczecina!*

Na targu Dobromir nabył jeszcze odrobinę jedwabi, daktyli i wesołą małpkę. Gdy już wszyscy znaleźli się bezpiecznie w łodzi, Dobromir krzyknął na całe gardło: *Lat beta skip vera mer hlydin vid handa mer! Szczecin!*

I ruszyła łódź jak szalona, mimo braku wiatrów, płynąc nieprzerwanie kilkanaście dni i nocy, aż dotarła do Szczecina.

A tam, w szczecińskim porcie, radość wielka. Bo wśród uwolnionych rycerzy rozpoznano wielu ze Szczecina, ojców, mężów, braci, jeden był tylko z uwolnionych oślepiiony i niemy, ale przytomny i szczęśliwy, że życia w Kairze nie stracił. A rycerz, w którym zakochała się syrena, jak mówią dobrzy ludzie, poślubił ją wkrótce, czym zdjął z niej urok, aby mogła zostać już na zawsze wśród ludzi. Natomiast małąkę Dobromir podarował księciu szczecińskiemu, a za bogactwa z wikińskiej łodzi i przywiezione towary z Kairu, niegdyś ubogi rybak największą przy rynku kamienicę wybudował w Szczecinie. Mówią, że gdy Dobromir był już starcem, czarodziejska łódź wikingów sama wypłynęła w morze, czekając na nowego kapitana. I wielu wciąż jej szuka, wypływając ze szczecińskiego portu w morze, bo znalazłszy ostatnią łódź wikingów, znając stare zaklęcie: *Lat beta skip vera mer hlydin vid handa mer*, można zdobyć niewyobrażalne bogactwa tego świata!

Miejsce: Zamek Książąt Pomorskich (ul. Korsarzy 34)

O książęcej małpce

Pewnego razu zamożny i szanowany szczeciński kupiec imieniem Dobromir podarował księciu, który rezydował w zamku, małpkę przywiezioną z Kairu. Stworzonko było urocze - potrafiło tańczyć do muzyki, wyklaskiwać rytm, a nawet, gdy dostało jakiś słodki smakołyk, małpka potrafiła zanucić kilka dźwięków, czym wprawiała w rozbawienie cały dwór.

I zdarzyło się w księstwie szczecińskim wielkie nieszczęście. Susze sprawiły nieurodzaj, lud zaczął cierpieć biedę i głód. Rozdał więc dobry książę część swych osobistych kosztowności, aby ludziom żyło się łatwiej.

Jednak po pewnym czasie skarbiec zaczął świecić pustkami.

- *Książę, panie umiłowany - rzekł zatroskany skarbnik zamku szczecińskiego - za ostatnie złoto, które mieliśmy, kupiliśmy ziarno i rozdaliśmy je wśród ludu twego... W skarbcu została tylko cisza i jeden pająk...*
- *Niedobrze, bardzo niedobrze... znowu będę musiał się zapożyczyć u szczecińskich kupców...* - westchnął pan Szczecina i pogłaskał małpkę, która wpatrywała się w



smutną twarz księcia.

Minęły trzy dni.

- *Książę, książę...* - krzyczał dobiegając do zamkowej sali tronowej skarbnik - *...cud jakiś nas spotkał!*
- *O czym ty mówisz?* - spytał zniecierpliwiony książę.
- *Dobyłem przed chwilą klucz, otworzyłem skarbiec*

książęcy, aby schować w nim kilka monet za podatki od rybaków, a tu... Rzecz niezmiemska! W skaaaarbcu są... - niemalże jąkał się skarbnik.

- *No mówże skarbniku, bo zaraz stracę cierpliwość! - krzyknął poirytowany książę.*
- *W skarbcu panie są... diamenty, złote pierścienie, szczerozłote kolie, tańcuchy, srebrne naczynia... Nie potrafię tego wytłumaczyć... - uspokajał się skarbnik - Nie wiem, jak to mogło się stać. Przecież klucz do skarbcu mam ja jeden. Nikt żelaznych drzwi bez mojej zgody otworzyć nie może, a w skarbcu tylko małe okienko, przez które nawet mysz, a co dopiero człowiek, się nie prześlizgnie... Panie, twoje modły musiały zostać wystuchane...*

Ucieszył się wielce książę i część złota oraz kosztowności kazał uczciwie rozdzielić wśród szczecinian i książęcego ludu, aby zażegnać kryzys i aby każdy obdarowany mógł kupić tyle jada dla siebie i swojej rodziny, ile jest wstanie zjeść.

Mijały dni, a w skarbcu zamiast ubywać, wciąż przybywało złotych pierścieni, wisiorków, kolczyków, nawet ozdobnych sztyletów wysadzanych brylantami lub agatami.

- *Panie, czy pozwolisz mi sprawdzić to dziwne zjawisko? - spytał skarbnik.*

- *Dobrze, ale czyń wszystko, aby nikomu nie stała się krzywda.* - odrzekł radośnie książę.

Jeszcze tej samej nocy skarbnik kazał przed drzwiami skarbcza postawić strażę zamkowe, a sam dopilnował, by zamknąć na klucz ciężkie wrota, po czym wrócił następnego dnia.

- *Panie mój...* - zaczął skarbnik relacjonować wydarzenia ubiegłej nocy księciu - *...drzwi były zamknięte, a mimo to, znowu w skarbcu przybyło kosztowności!*

Następnego dnia skarbnik, prócz straży zamkowej, kazał jeszcze postawić przed skarbcem dwóch zbrojnych rycerzy, lecz i ci nad ranem zawiedli.

- *Panie mój...* - zaczął znowu relacjonować skarbnik - *...postawiliśmy strażę zamkowe w gotowości i nawet zbrojnych rycerzy, lecz i tym razem cud się powtórzył, bo w skarbcu znowu przybyło kosztowności, choć nikt ciężkich wrót do skarbcza nie otwierał, bo klucz cały czas był przy mnie.*

Trzeciego dnia sam skarbnik przez całą noc wraz ze strażą i rycerzami ani na moment nie zmrużyli oka, lecz i tym razem cud się powtórzył, nad ranem w skarbcu znowu było pełno nowych kosztowności.

- *Skarbniku...* - zaczął książę pan - *...teraz zrobimy*

według mojej woli. Na noc zamkniecie mnie w skarbcu, a sami pilnować będziecie skarbów za zamkniętymi wrotami. Jeśli to naprawdę cud i jakieś anioły złoto nam do Szczecina przynoszą, muszę im sam osobiście podziękować!

I stało się, jak rzekł książę. Jeszcze tej samej nocy księcia zamknięto w skarbcu na najwyższej zamkowej wieży, na klucz zawarto ciężkie wrota, a skarbnik czekał po drugiej stronie żelaznych drzwi.

Mijały godziny, książę zrobił się senny. Aż tu nagle, po północy, książę usłyszał delikatne szmery za niewielkim okienkiem. Po chwili mała rączka uchyliła okienko, a księciu ukazała się postać małpki niosącej kosztowności. Roześmiał się głośno książę i kazał natychmiast otworzyć wrota skarbcza.

Okazało się, że zwinna małpka, wyszkolona jeszcze w Kairze, potrafiła swemu panu przynosić wszelkie kosztowności. Niestety, były to rzeczy skradzione. Rozpytał więc książę, komu w jego księstwie zginęły ostatnio złote i srebrne precjoza. Natychmiast na zamek szczeciński udali się kupcy duńscy, którzy w Szczecinie mieli swoje kramy, że im cenne przedmioty w dziwnych okolicznościach poznikały. Odtąd książę wszystkich kupców zabezpieczył przywilejem, aby im krzywdy na lądzie ani morzu nikt nie czynił, a tym

bardziej jakichkolwiek sprzętów zabierał. Niebawem książę wyprawił na zamku wielką ucztę dla wszystkich kupców, a sprytną małpkę trzymano odtąd wyłącznie na złotym łańcuszku, aby samowolnie nie opuszczała zamku.

Po latach opowieść o szczecińskiej małpce stała się tak głośna, że na pamiątkę tamtych wydarzeń zaczęli nawet niektórzy mieszczanie przyozdabiać w Szczecinie swoje kamienice motywem małpki. I po dziś dzień na niejednej fasadzie zauważyć można wesołą małpkę czyniącą figle ku uciesze ludzi. Ponoć, wystarczy tylko na taką rzeźbioną małpkę spojrzeć i klepnąć się w lewe ramię, a wkrótce w niewytłumaczalnych okolicznościach można odnaleźć w swoim domu złote pierścionki lub inne kosztowności. Mówią, że wciąż czyni te figle duch małpki widziany czasem na zamkowej wieży.



*Miejsce: Baszta Panieńska,
ul. Panieńska 47*



O żebraku spod Bramy Panieńskiej

Zdarzyło się raz pewnego, że kapitan Dobromir przywiózł z dalekiej krainy do Szczecina kilku rycerzy, którzy

wyruszywszy niegdyś na krucjatę szczęścia nie mieli, i jako pojmani zakładnicy przez długie lata byli więzieni w saraceńskiej twierdzy.

Wśród uwolnionych rycerzy był jeden, którego los okrutnie doświadczył - na torturach osłepiono go i wyrwano mu język, na dodatek tak nieszczęśliwie połamano mu nogi, że już nie mógł chodzić.

Zlitowali się więc szczecinianie nad starym rycerzem pozwalając mu zostać w mieście. Nawet szczeciński dziad Sobótko, zwany „księciem żebraków” pozwolił, aby bezimienny rycerz, teraz bez jakiegokolwiek dobytku i przyzwoitego odzienia, mógł dołączyć do ich bractwa i żebrać w najlepszym miejscu w Szczecinie, przy Bramie Panieńskiej.

Z czasem jednak zapomniano o dawnym rycerzu, który z roku na rok marniał w oczach, zarósł brudem, bo nie było w nim już chęci życia, ani krzty radości. Jedynie Pietrek, syn okolicznego cukiernika, od czasu do czasu wykradał z kramu ojca jakieś słodycze, by żebraczyna spod Bramy Panieńskiej mógł najeść się do syta.

Pietrek często żalił się żebrakowi, i choć tamten nie mógł nawet odpowiedzieć słowem, czasem skinął tylko głową lub dłonią rysował na piasku jakieś niezrozumiałe dla chłopca znaki. Pietrek narzekał, że niebawem już nie będzie mógł

przynosić staremu rycerzowi jadła, bo jego ojciec nie otrzymał zamówienia od księcia szczecińskiego na dostawę nadwornych słodczy i wkrótce pewnie zbankrutują oraz wyjadą ze Szczecina w daleki świat, szukać zarobku.



Gdy chłopiec to mówił, nagle do dzbanuszka jałmużnika wpadła moneta. Żebak od razu rozpoznał po dźwięku, że to

ciężki kawałek złota, ale któżby taki dar mógł ofiarować ślepemu nędzarzowi?

Podstarzały biedak próbował wstać, ale nie mógł, więc chłopiec go podtrzymał.

- *Kim jesteś, pani?* - zapytał Pietrek.
- *Jestem Anastazja, córka księcia szczecińskiego, właśnie jadę do swego ojca w odwiedzinę.* - odpowiedziała kobieta.
- *A to jest pani mój przyjaciel, i choć nie ma oczu ani języka, na pewno teraz ci dziękuje...* - zaczął nieśmiało chłopiec.

W tym momencie żebrak zaczął cały drgać, dygotać, jakby trawiła go śmiertelna gorączka.

- *Co mu jest? Czy chory?* - spytała księżna.
- *Nie pani, raczej rycerz ten wzruszył się twoją dobrocią...* - odrzekł Pietrek.
- *Rycerz? Rycerz został żebrakiem?* - dopytywała zdziwiona Anastazja.
- *Pani, to długa historia. Rycerza tego z niewoli wykupił szczecinianin imieniem Dobromir i na statku przywiózł go z Kairu aż tutaj. Niestety, okrutnie oślepiiony i nie mogąc chodzić, aby nie być dla ludzi utrapieniem, skończył pod tą Bramą Panieńską...* - wzdychał chłopiec.
- *Chłopcze, przynieś mi natychmiast wody z miejskiej*

studni, przemyję mu na odchodne chociaż twarz. Rycerz rycerzem jest całe życie, a jego twarz musi być czysta jak jego dusza... - nakazała Anastazja.

Po chwili chłopiec przyniósł wodę, w której księżna zanurzyła swoją chustę i przemyła twarz żebrakowi. Po czym, zobaczywszy czystą twarz nędzarza, zemdląła.

- *Pani, pani, co ci jest!* - zaczął cucić Anastazję chłopiec.
- *Chłopcze, tyś mi życie uratował... To mój mąż, Henryk, władca Meklemburgii, na którego powrót z krucjaty czekałam już prawie trzydzieści lat...* - szepnęła wzruszona księżna.
- *Pani, spójrz...* - krzyknął chłopiec.

W tym czasie stary rycerz na piasku nakreślił koślawych kilka liter: JAM HENRYK TWÓJ MAŻ.

I radość nastąpiła w całym księstwie, wieść tę ogłoszono od Szczecina aż po Meklemburgię. Odtąd już żaden żebrak w Szczecinie nie chodził głodny, a rodzinę Pietrka, za opiekę nad Henrykiem, sownie wynagrodzono i przez wiele kolejnych lat raz w tygodniu wysyłano na meklemburski dwór szczecińskie łakocie, których sława nie zginęła po dziś dzień.

To wtedy ponoć powstało znane w Szczecinie przysłowie:
Gdy książę żebrakiem - nie jesteś biedakiem...



Miejsce: Astrolabium przy bulwarze



O bursztynowej galerze

Od dawna krążyły po księstwie szczecińskim opowieści o wielkiej galerze szybkiej i niezatapialnej, bo w całości zrobionej z bursztynu. Okręt ten cieszył się na całym Bałtyku oraz morzach północnych złą sławą, ponoć w ciasnych pomieszczeniach pod pokładem ciężko pracowały jako galernicy dzieci mające lat od ośmiu do trzynastu, zakute w grube łańcuchy.

Gdy bursztynowa galera zawijała do jakiegoś portu, wszędzie tam słyszano krzyki rozpacz, tak bezlitośni w

swoim zbójckim rzemiośle byli piraci kradnący do załogi małych chłopców i dziewczęta.

I zdarzyło się razu pewnego w Szczecinie wielkie nieszczęście. Bursztynowa galera w nocy wpłynęła rzeką do centrum miasta. I nagle zaczęły wybuchać pożary, bito w dzwony, bo piraci nie tylko okradali mieszczan z dobytku, ale także z ich ukochanych dzieci, by na służbie morskiej u korsarzy spędziły długie lata. Nim się obejrzano, uprowadzono z miasta kilku chłopców.

Wśród nich był Szczecisław, którego ojciec, zacny kupiec przypraw korzennych, nazwał tak syna na cześć wspaniałego Szczecina, w którym rodzina prowadziła ogromny dom kupiecki, bo przyprawy sprowadzane z dalekiego południa i wschodu, tutaj, na północy, były jeszcze nowością i nieznaną egzotyką.

Chłopca natychmiast wraz z pozostałymi dziećmi piraci zakuli w dyby i czym prędzej ruszono w morze, aż po chwili bursztynowa galera, lśniąca jeszcze chwilę w blasku księżyca, znikła w bałtyckich mrokach.

Mijały dni i tygodnie. Szczecinianie stracili już nadzieję na odzyskanie swoich pociech. Nawet książę szczeciński wyznaczył wielką nagrodę za odnalezienie uprowadzonych.

Nic to jednak nie dało, nikt nic nie słyszał, wieść o galerze przepadła, choć były i głosy od norweskich marynarzy, że



ponoć galera teraz pływa po dalekiej północy, gdzie dzień trwa nawet miesiąc, w co trudno uwierzyć.

Szczecisław razem z innymi chłopcami ciężko przez wiele godzin wiosłował, aż małe dłonie puchły od nadmiaru pracy i wyczerpania. Jednak chłopiec miał już plan na uwolnienie siebie i innych dzieci.

- *Zaprowadź mnie do kapitana!* - powiedział zawadiacko Szczecisław.

Korsarze słysząc to wybuchnęli śmiechem.

- *Powiedziałem, prowadź mnie do kapitana. Jestem Szczecisław, syn wielkiego maga, jeśli mnie wolno nie puścicie, jeszcze dziś wszyscy skończycie na dnie morskim!*
- mówił coraz głośniej chłopiec.

Może dla zabawy, może dla kaprysu, znudzeni rejsem piraci ściągnęli z chłopca grube łańcuchy i całą załogą zaprowadzili do kajuty kapitana.

- *Kapitanie, ten dzieciak twierdzi, że jest synem jakiegoś maga, a że tego wymaga korsarska powaga, musimy ci o tym donieść, aby nasza łajba nie poszła przypadkiem na dno...* - powiedział jeden z piratów, nieco przejęty słowami chłopca.
- *Głupcze, i po to śmiałeś mnie obudzić?* - wrzasnął kapitan - *To dziecko miałoby nam zaszkodzić? Spójrzcie na to chucherko...* - rechotał ze śmiechu kapitan.

- *Kapitanie, jestem Szczecisław, jeśli natychmiast nie zawrócimy do Szczecina i nie uwolnisz spod pokładu wszystkich dzieci, spotka cię zasłużona kara!* - rzekł pewnym głosem młodzieniec.
- *Tak? A to ciekawe, co mi zrobisz? No proszę...* - wybuchnął śmiechem kapitan, a wraz z nim cała załoga.
- *Jeśli tego nie uczynisz, ty pierwszy zaraz stracisz wzrok!* - odrzekł głośno Szczecisław.
- *Prędej tu kraken nas odwiedzi, niż ty mnie wzroku pozbawisz! Zamknąć mi tego dzieciaka w karcerze i do końca dnia nie przeszkadzać...*

Nie zdążył nawet kapitan wypowiedzieć tych słów, a Szczecisław wyciągnął z kieszeni garść pieprzu i cisnął nią w oczy kapitana, a ten, ku przerażeniu wszystkich piratów zaczął wrzeszczeć:

- *Moje oczy, nic nie widzę, nic nie widzę... Oślepiłem... Jak szczybie, jak boli...* - krzyczał w niebogłosey kapitan, aż słyszeli to mali galernicy pod pokładem.
- *Ja jeden tylko na świecie mogę zdjąć z ciebie ten urok. Jeśli nie zawrócimy do Szczecina, wszyscy skończycie na dnie Bałtyku!* - triumfował teraz chłopiec.
- *Już dobrze, wygrałeś, tylko spraw, abym teraz przejrzał na oczy! Daję korsarskie słowo honoru, że wrócimy do*

Szczecina i zwróce temu miastu wszystkich uprowadzonych, tylko mi pomóż, umieram z bólu! - błagał kapitan.

- *Skoro prosisz, tak uczynię, ale... aby zdjąć urok z ciebie muszę mieć cudowną wodę, z której pił gryf...* - wymyślił na poczekaniu Szczeciśław.
- *Cudowną wodę gryfa? A skąd my teraz weźmiemy cudowną wodę, z której pił gryf? Oj, jak boli...* - lamentował kapitan.
- *Dajcie mi zwykłej wody i zostawcie mnie sam na sam. Ja potrafię przemienić się w gryfa, i jako gryf napiję się tej wody, a później wrócę do ludzkiej postaci...* - kłamał z szelmowskim uśmiechem Szczeciśław widząc, jak wielkie przerażenie było na twarzach piratów, którzy uwierzyli, że na pokładzie ich galery mają prawdziwego gryfa, potwora, który rzeczywiście mógłby sprawić, że wszyscy pójda na dno.

Po chwili Szczeciśław wrócił z drugiej kajuty z misą wody, a przemywając oczy kapitana niby mamrotał jakieś zaklęcie pod nosem.

- *Dziękuję, chłopcze...* - rzekł kapitan korsarzy - *...teraz widzę, że jesteś groźnym magiem nad magami. Załogo! Płyniemy do Szczecina!*
- *Nie tak prędko, kapitanie...* - zaczął Szczeciśław - ...

teraz to wy będziecie galernikami, a wszystkie dzieci załogą na pokładzie, odpoczywającą w słońcu. Inaczej...

- *Rozumiemy...* - westchnął kapitan i wszyscy piraci zeszli pod pokład uwalniając dzieci, od teraz sami byli galernikami, jedynie sternik z załogi korsarskiej został przy sterze nawigując do portu szczecińskiego.

Po wielu dniach rejsu Szczecisław i inne dzieci dostrzegły mury miasta Szczecina, z wysokimi wieżami zamkowymi. Kapitan jednak ani myślał poddać się szczecińskim rycerzom i nakazał sternikowi powrót na pełne morze.

Szczecisław, widząc już, że bursztynowa galera wpłynęła do miasta i wykonuje manewr nawrotu, podbiegł do sternika i ostatnią resztką pieprzu trzymaną w kieszeni sypnął piratowi w oczy. A sternik, nie widząc już kursu, rozbił okręt o kamienne przesło mostu.

I tym razem los łaskawy był dla szczecinian. Piraci rzeczywiście, jak przepowiedział Szczecisław, skończyli na dnie, a wszystkie dzieci uratowały się, wskakując na wielkie kawały bursztynu, które wyłowiono na brzegu.

Szczecisław, nauczony już życia, nakazał szczecinianom, aby resztki z bursztynowej galery, by nikt w przyszłości jej nie odbudował, podzielić na siedem równych części i zakopać w lochach szczecińskich, na siedmiu wzgórzach miasta. I choć wielu śmiazków po latach próbowało, nie od-

naleziono jeszcze bursztynowego skarbu.

Odtąd już nigdy nie widziano na Bałtyku bursztynowej galery, a Szczeciśław, dzięki książęcej nagrodzie, stał się majątnym człowiekiem.



*Miejsce: kościół pofranciszkański św. Jana ewangelisty,
ul. Świętego Ducha 9*



O szczecińskim malarzu

Działo się w dawnych czasach, gdy księciem był Barnim I zwany Dobrym, ten sam, który stolicę swojego wielkiego księstwa przeniósł z Uznamia do Szczecina, by wkrótce o jego książęcej stolicy zrobiło się głośno w całej Europie.

Mądry książę dbał o kupców, umacniał mury miejskie, rozbudowywał zamek, a także sprowadził na swój dwór poetów, muzyków i rycerzy, aby wszyscy szczecinianie oraz

poddani byli dumni ze swojej stolicy. Książę sprowadził również do Szczecina franciszkanów, ufundował im nawet klasztor i zadbał o wyposażenie w malowidła i rzeźby, sprowadzając aż z Italii artystę imieniem Jan.

Jan był cichym i pokornym człowiekiem, niebawem nauczył się języka, czym wśród mieszczan szczecińskich zdobył szybko uznanie. Malarz był niezwykle cierpliwy i pracowity, godzinami potrafił nie schodzić z rusztowania malując freski w szczecińskich świątyniach lub domach zamożnych kupców. Z biegiem lat nabrał w sztuce malarskiej tak wielkiej biegłości, iż z najdalszych stron otrzymywał zamówienia na swoje obrazy.

Wśród szczecinian zwano go także alchemikiem, bo nie tylko jego obrazy mieniły się nadnaturalnymi barwami gdy Jan tworzył farby według własnych przepisów, ale potrafił również leczyć ludzi ziołami.

Artysta przesiadywał cały wolny czas w swojej pracowni, gdzie eksperymentował z przepisami nowych farb. I tym razem nie było inaczej - Jan, chcąc uzyskać wyjątkowy odcień zieleni, zmieszał starte w proch ziele kozłka, szyszki chmielu, męczennicy, melisy i rumianku, a na koniec miksturę przyprawił tajnym składnikiem, którego nauczył się wytwarzać jeszcze w Wenecji. Ledwo zdołał dolać wody, natychmiast zasnął.

Następnego dnia pomyślał: *Pewnie byłem mocno zmęczony... Wszak tyle już lat pracuję bez wytchnienia, może warto nieco odpocząć? Dzisiaj dokończę tylko fresk u franciszkanów i przez kilka najbliższych dni spędzę czas wyłącznie z rodziną.*

Jednak, na wysokim rusztowaniu w kościele franciszkańskim, Jan, ledwo wyciągnął z kieszeni proszek by dolać do niego wody, gdy wziął głębszy oddech natychmiast zasnął upadając w inne farby leżące na deskach w małych miseczkach. Następnego dnia rano Jana, umazanego całego kolorowymi farbami, obudziły okropne krzyki mieszczan: *Złodziej! Mamy złodzieja! Przyłapano na gorącym uczynku!*



Okazało się, że gdy malarz w nocy spał wysoko na rusztowaniu, jacyś złodzieje skradli drogocenne kielichy. Na nic zdały się tłumaczenia niewinnego malarza, że w nocy nic nie słyszał tylko sobie spokojnie, jak gdyby nigdy nic, drze-

mał w najlepsze.

Jeszcze tego samego dnia, gdy nawet Jan nie zdążył się umyć i przypominał wielkiego kolorowego ptaka, sąd wydał wyrok. Za kradzież mienia znacznej wartości książęcy trybunał karał niestety każdego delikwenta spotkaniem z katem na Rynku Siennym.

I już biedny malarz miał zostać skrócony o głowę, gdy nagle zza miejskiej bramy dobył się głos:



- *Ludzie, ratujcie swoje życie, duńczycy, dzicy jak wikingowie, już tu są, cała wielka armia!* - krzyczał jak oszalały jakiś mieszczanin.

Jan ani myślał uciekać, było już mu wszystko jedno. Stał więc naprzeciw wielkiej armii, a gdy duńscy wodzo-

wie zobaczyli kolorowego Jana, przypominającego ni to człowieka, ni ptaka, stanęli jak wryci.

- *Jestem ten, nad którym jeszcze dzisiaj wisiał wielki topór. Nie mam nic, tylko tego zielonego proszku...* - rzekł Jan, i cisnął z rozpaczny prochem w duńskich rycerzy.

I stała się rzecz niebывała. Ledwo pył dosięgnął twarzy zbrojnych rycerzy, ci natychmiast upadli na ziemię skuci twardym snem. Reszta armii widząc takie nieznanne wcześniej zjawisko, uciekła w popłochu do swoich łodzi, myśląc może, że ich towarzysze już nie żyją.

I w ten sposób Jan stał się bohaterem Szczecina. Książę ułaskawił Jana, a za okup uzyskany od duńskich rycerzy uczciwie podzielił się złotem z malarzem. Odtąd Jan żył dostatnio, postanowiwszy sobie, że już więcej żadnych eksperymentów z farbami czynić nie będzie.

Ponoć, jak mówią dobrzy ludzie, na jednej ze ścian kościoła lub zamkowej kaplicy dostrzec i dziś można jeszcze malowidło Jana, ale widzą je tylko ci, którzy podobnie jak szczeciński malarz, serce mają pełne cierpliwości i pokory.



*Miejsce: Muzeum Narodowe w Szczecinie,
ul. Staromłyńska 27*

O magicznej piszczałce

Działo się w czasach, gdy księciem pomorskim był Racibor I, postrach całej Skandynawii, o którego męstwie i odwadze skaldowie, poeci i pieśniarze północy, śpiewali drąpa, czyli pieśni opiewające władców i bitwy, od Danii, przez Szwecję aż po krańce Norwegii.

Jednak mało kto wiedział o pewnym sekrecie, którego na szczęście długo nie poznali potomkowie walecznych wikingów z północy, bo wtedy los im byłby przychylny. A było to tak:

Siostrzeńcem księżęcym był Dunimysł, młodzieniec niespokojny duchem i temperamentem, którego jednak nikt nie szanował, bo chłopiec był niskiej postury, chudzielina jedna, co ledwie odrastał od ziemi. Jak taki malec miałby zostać rycerzem? Może właśnie dlatego Dunimysł często wymykał się ze Szczecina na nadmorskie plaże, bo w mieście wciąż słyszał rozlegający się za jego plecami śmiech przechodniów. I pewnego dnia wydarzyło się coś, co odmieniło życie chłopca oraz całego księstwa. Na jednej z



plaż chłopiec znalazł wyrzuconą przez morze kość, lśniąca w słońcu niczym wypolerowane złoto, jednak tak twardą, że żaden miecz ani topór nie mogły jej przeciąć na pół. Zabrał więc chłopiec znalezisko do zamku szczecińskiego, i nawet nadworny alchemik książęcy nie wiedział, jakiego stworzenia to był fragment ciała. Jeszcze tej samej nocy chłopcu przyśnił się dziwny sen, w którym Dunimysłowi ukazał się duch króla bałtyckich przestworzy, sam gryf:

- *Jestem gryfem, którego kość znalazłeś... - zaczął stwór - ...ona wieki czekała właśnie na ciebie, bo, zapamiętaj to na resztę życia: nie wielkość ciała świadczy o odwadze, ale wielkość charakteru, możesz być mizerny, nawet maleńki dla innych, ale jeśli twój duch będzie wielki, nawet ja mu służyć będę... A teraz zrobisz według polecenia mojego: wszystkim rycerzom w księstwie daj zadanie - niech znajdzie się śmiałek, który za cenę sakwy złota tę kość moją przepiłuje z przodu i z tyłu i siedem dziur w niej wywierci, aby dźwięk wydać mogła...*

Obudził się dnia następnego Dunimysł i zrobił, jak mu polecił we śnie gryf, lecz w całym księstwie nie znalazł się choćby jeden rycerz, którego miecz byłby tak ostry, aby przepiłować kość, choć wielu, przez wiele godzin na dziedzińcu zamkowym próbowało.

Kolejnej nocy we śnie chłopcu znów ukazał się duch gry-

fa, mówiąc:

- *A widzisz, najwięksi spośród wielkich tego księstwa, najmocniejsi, najsilniejsi rycerze, przepiłować kości nie mogli i nie znalazł się nikt, kto by z niej piszczałkę mógł zrobić... A teraz zrobisz według polecenia mojego: zatem ty jeden, przed wszystkimi rycerzami, weźmiesz kość i zwykłym nożykiem przepiłujesz przód i tył, i tym samym nożykiem nawiercisz siedem dziurek, a na końcu zadmiesz z całych sił w piszczałkę, a odtąd duch mój stać przy tobie i strzec cię będzie do ostatnich twych dni...*

Obudził się dnia następnego Dunimysł i zrobił, jak mu polecił we śnie gryf. A zdziwienia i zachwyty wśród szczecinian nikt już nie krył, i nikt też nie śmiał odtąd wyszydząć chłopca.

I zdarzyło się, że władca Racibor stracił cierpliwość, bo księstwo jego nieustannie najeżdżali z północy Duńczycy, Szwedzi lub Norwegowie, więc zarządził książę wielką wyprawę na północ, aż na 780 okrętów, jak śpiewał niegdyś skald nad skaldami Snorri Sturluson, a w każdym książęcym okręcie było po 44 rycerzy, co razem dawało 34320 zbrojnych.

Racibor pozwolił, aby w pierwszej łodzi razem z nim płynął jego siostrzeniec Dunimysł. I gdy wydawało się, że zwycięstwo nad Norwegami jest bliskie, nagle gęsta mgła

opadła w fiordzie Götalev, więc zarządził postój floty Racibor, by okręty nie rozbiły się o skały. Jednak w tej samej chwili zaczęły uderzać w armię Racibora strzały, oszczepy i kamienie, miotane ze skalnych nabrzeży przez wroga. I w tym momencie książę zrozumiał, że już ratunku na ocalenie nie ma, bo w gęstej mgle nie wyprowadzi bezpiecznie całej floty z pułapki.



Szczęśliwie Dunimysł przypomniał sobie, że gryf pomorski obiecał mu opiekę, więc zadał z całych sił w piszczałkę, aż tu nagle we mgle usłyszano ryk gryfa. Dunimysł krzyknął do kapitanów floty: *Za głosem gryfa, on wyprowadzi nas bezpiecznie z mgły!*



I rzeczywiście, niebawem wszystkie okręty wpłynęły bez uszczerbku choćby jednego okrętu w nurt rzeki Göty, skąd, gdy już mgła opadła, ujrzano potężne, warowne miasto Kungahälla, nazywane niegdyś najbogatszą perłą Skandynawii. Bitwa o całą Konungahelę trwała dosłownie chwilę, nikt z obrońców nie spodziewał się tak wielkiej armii. A gdy

Pomorzanie wracali z wielkimi łupami, w drodze powrotnej ponownie pojawiła się gęsta mgła utrudniająca nawigację. I tym razem Dunimysł użył gryfowej piszczałki.

Gdy okręty dopłynęły do Szczecina, świętowania nie było końca. Przez cały tydzień tańczono i bawiono się przy dźwiękach muzyki i pieczonym mięsiwie. Aż po wielu dniach biesiady sam Racibor zdecydował, iż to właśnie Dunimysł zostanie komesem grodu szczecińskiego, jako najwyższy zarządca zamku i okolicznych włości.

I po dziś dzień śpiewają jeszcze skaldowie w całej Skandynawii o bohaterskich rycerzach, jak choćby w pieśni zaczynającej się od słów: *Król Racibor i jego zwycięskie wojska ustąpiły i powróciły do Slavii, a wielka liczba ludu, który wzięty był w Kungahelli, potem długo żył u Słowian w niewoli. Wielki port Kungahälla nigdy nie wrócił do tego samego stanu co przedtem...*

Co stało się później z gryfową piszczałką? Nikt nie wie. Ponoć Dunimysł ukrył ją gdzieś w lochach zamkowych lub miejskich. Ostatnio nawet fragment takiej piszczałki z kości znaleziono w Szczecinie, lecz nie odważono się jeszcze w nią zadać, by nie obudzić ducha niespokojnego gryfa.



*Miejsce: Gimnazjum Mariackie,
ul. Henryka Pobożnego 2*



O kłątwie żebraka

Dziad Sobótko, zwany „księciem żebraków”, od lat był legendą ulic szczecińskich. Miły i kulturalny, niczym wielmożny pan, pełen dystynkcji i manier, żartobliwy i mądry, a jednak największy spośród żebraków Szczecina, bez własnego dachu nad głową. To właśnie on, gdy tylko nadchodziły letnie dni, by umilić szczecinianom i gościom pobyt w księżęcej stolicy, robił na placach Szczecina wraz z

innymi jałmużnikami teatralne komedie, które rozweselały przechodniów - a to o skąpym burmistrzu miasta, a to o leniwej księżniczce, a to o chytrym królu, czym jednak sympatii u szczecińskich władz nie zyskał.



I zdarzyło się raz pewnego, że w Szczecinie ogłoszono wielkie sprzątnięcie miasta, bo niebawem miał się odbyć ślub

nie byle kogo - księżniczki Ludgardy i Przemysła, przyszłego króla Polski. Więc, by możni goście, władcy ze swoimi dworami, książęta, baronowie, hrabiowie i szlachta, wszyscy przybywający do Szczecina z najdalszych zakątków Europy poczuli się dobrze, rajcy miejscy postanowili, aby każdego żebraka przepędzić ze Szczecina na cztery wiatry.



Rozgniewany Sobótka postanowił jednak wrócić do miasta i na własne oczy zobaczyć ślub tak zacnej i sławnej pary. Nim jednak dotarł do Kościoła Mariackiego z najwyższą wieżą w mieście liczącą ponad 100 metrów wysokości, ozdobioną koroną, orłem i inicjałami, książęca straż poturbowała żebraka oraz wtrąciła go do lochu zamkowego.

Mijały dni, tygodnie oraz miesiące, ślub z niemalże królewską oprawą był już dawno wspomnieniem wśród szczecinian, aż ktoś z rajców miejskich przypomniał sobie, że przecież czas uwolnić Sobótkę, bo niewinnie zamknięto go w więzieniu.

- *No, książę żebraków, jesteście wolni... Na przyszłość nie chodźcie tam, gdzie was nie zaproszono... -* pokpiwał sobie książę szczeciński, gdy uwalniano żebraka z lochu.
- *Książę, liczyłem każdy dzień mojej niesprawiedliwej katorgi, a było ich równo 516... Dlatego rzucam na ciebie i twój ród kłatwę... -* zaczął żebrak, a książę tylko uśmiechał się drwiąco - *...Nie śmiej się, mój książę, krewniczka twoja, Ludgarda, co to przywitać ją mi zabroniłeś, śmierć okrutną z rąk swego męża weźmie, a mąż jej, gdy już królem będzie, śmierć srogą z rąk wrogów otrzyma... A i ty, oraz przodkowie i potomkowie twoi, kości wasze tułać się będą po całym Szczecinie, aż spokoju*

nigdzie nie dostąpią... I sam Kościół Mariacki, że mnie do niego nie wpuszczono, za tyle lat ile dni mnie niesłusznie więziono, za tyle czasu uderzy w niego piorun i spłonie na wieki, nie odbudowany nigdy... A w miejscu, gdzie był, stanie szkoła, i jeśli młodzieży w niej uczyć szacunku do drugiego człowieka nie będą, jak pomagać biednym, słabym i schorowanym, wtedy w to samo miejsce, za kolejne 516 lat uderzy piorun po raz drugi, a wtedy całe miasto znajdzie się na dnie Bałtyku i już więcej świat o nim nie usłyszy...

Gdy żebrak kończył te słowa, rechotał ze śmiechu ksiązę wraz z wszystkimi rycerzami i dwórkami.

W niedługim czasie Sobótko opuścił na zawsze Szczecin, a sam ksiązę wpadł w wielki strach, bo niebawem, jak wieść powszechna niosła, Ludgardę zabito za bezpłodność i pochowano w katedrze gnieźnieńskiej, a Przemysł, mimo koronowania na króla Polski, wkrótce stracił życie w zamachu.

I przez kolejne pokolenia w rodzie ksiązęcym działały się rzeczy niewytłumaczalne. Kości ksiązęce zaczęły tułać się po Szczecinie, jak przepowiedział żebrak - i tak, oprócz Barnima I pochowani zostali Matylda – żona Bogusława IV, Beatrycze – żona Barnima I, Matylda – kolejna żona Barnima I, Elżbieta – żona Ottona I oraz on sam, wielki ksiązę szczeciński. A gdy

w XVI wieku z polecenia księcia Jana Fryderyka został rozebrany kościół św. Ottona, wszystkie szczątki książąt przeniesiono do Kościoła Mariackiego, i jeszcze w tym samym stuleciu przeniesiono sarkofagi do kaplicy na zamku. Ale najgorsza rzecz wydarzyła się w Szczecinie w 1789 roku. Najwspanialszy, najokazalszy kościół w Szczecinie, duma północy, spłonął od uderzenia... pioruna, równo 516 lat licząc od szczecińskiego ślubu Ludgardy i Przemysława. Kościoła Mariackiego już nigdy nie odbudowano. W tym samym miejscu wzniesiono Gimnazjum Mariackie, w którym obecnie mieści się liceum.

I uczą tam pilnie młodzież szczecińską tolerancji wobec innych, aby już więcej w Szczecin nie uderzył niszczący piorun, i aby całe miasto nie znalazło się nigdy pod wodą.

Spis treści

Wstęp /5/

Szlak kulturowy szczecińskich legend z mapką /7/

Rynek Sienny przy Ratuszu Staromiejskim:

O srebrnym kolczyku /8-12/

Przy Wałach Chrobrego:

O czarodziejskiej łodzi wikingów /13-19/

Zamek Książąt Pomorskich (ul. Korsarzy 34):

O książęcej małpce /20-25/

Baszta Panieńska (ul. Panieńska 47):

O żebraku spod Bramy Panieńskiej /26-31/

Astrolabium przy bulwarze:

O bursztynowej galerze /32-39/

Kościół pofranciszkański (ul. Świętego Ducha 9):

O szczecińskim malarzu /40-45/

Muzeum Narodowe w Szczecinie (ul. Staromłyńska 27):

O magicznej piszczałce /46-53/

„Gimnazjum Mariackie” (ul. Henryka Pobożnego 2):

O klątwie żebraka /54-59/